

# zamiast recenzji

Zdania są podzielone. Prasa na ogół niechętna, tzw. szary telewidz — zdezorientowany. Mowa oczywiście o niedawnej inscenizacji „Wesela” w teatrze TV. Zgodnie z zapowiedzią, nie mam zamiaru rozkoszować czytelników subtelnymi analizami filologicznymi, które miałyby przekonać ich osłotecznie, ile to arcydzieło Wyspiańskiego straciło choćby tylko z tego tytułu, że nie zaczęło się od fundamentalnej kwestii Czepca: „Cóż tam, panie, w polityce?”. Tym bardziej, że Lidia Zamków podobnych niegodziwości w stosunku do tekstu — nie tylko dopuściła się w tej inscenizacji znacznie więcej. Nie zobaczyliśmy zatem widm, dzięki czemu telewizja — oszczędziła na honorariach, nie zauroczył nas Chochół, co sprawiło zapewne dziwą satysfakcję przeciwnikom Wiesława Górnickiego i rozpetanej przez niego w swoim czasie dyskusji na ów temat, nie było „złotego rogu”... Więc cóż to, u diabła, za pokraczne „Wesele”?

Roman Szydłowski krytyk niewątpliwie inteligentny (zob. recenzję w „Trybunie Ludu”) napisał, że w wyniku tego rodzaju praktyk „Wesele” zostało „splaszczone”, ergo — stało się jednowymiarowe, a co najgorsze:

pozbawiono go aury nastrojowo-symbolicznej, bez której utwór ten praktycznie nie istnieje. Szydłowskiemu można i trzeba uwierzyć; wszystko, co napisał, to w końcu święta prawda, objawiona już wcześniej w każdym podręczniku historii literatury. Skoro więc krytyk tak inteligentny, jak Roman Szydłowski, nie znalazł tego wszystkiego w przedstawieniu Lidii Zamków — nie mógł go pochwalić. To jasne!

Aliści wątpliwości zaczynają się w momencie, kiedy wzorem preza Kłuba Krytyki Teatralnej winą za chybiony zamysł reżysera obarczymy Bogu ducha winnych aktorów. Najgorzej na tym interesie wyszła Stanisława Celińska, aktorka w końcu nietuzinkowa, która wszak nie przypadła do gustu krytykowi. Nie udźwignęła — rzekomo — roli Racheli. Pytanie tylko — jakiej Racheli? Czy tej, którą oglądał niejedyn raz w swojej bogatej karierze recenzentkiej Roman Szydłowski — czy tej, która była logiczną konsekwencją interpretacji „Wesela” przez Lidię Zamków? A poza tym nie wyobrażam sobie, aby kto jak kto, ale Lidia Zamków — mając daleko idące możliwości wymiany zespołu w stosunku do inscenizacji, krakow-

skiej (Teatr im. J. Słowackiego) — dokonywała jej w myśl zasady: „Zamienił stryjek sukierkę na kijek”. Można tej pani nie lubić za jej programową szorstkość, za nieparlamentarne słownictwo nawet w miejscach publicznych (jak to miało miejsce onegdaj w „Jaszczurach”, choć mnie osobiście to nie zbulwersowało) — ale nie za brak konsekwencji!

Tenże Roman Szydłowski napisał również — skądinąd najzupełniej słusznie! — że Zamków odczytała „Wesele” przez pryzmat nabrzmiałych konfliktów społecznych między „panami a chłopami”. Przypomniał przy okazji rebelię Szeli i na tym klasowe podłoże dramatu się urwało... „A to Polska właśnie” — chciałoby się powtórzyć za Mistrzem. Rzecz jasna, nie wyczerpuje to w żadnym wypadku możliwości interpretacyjnych dramatu Wyspiańskie-

go, i w tym sensie Szydłowski ma zupełną rację. Tylko jeśli już reżyser zdecydował się na taki zabieg, to sądzmy jego i aktorów, którzy się tej koncepcji podporządkowali, podług rezultatów. Intencje mogła mieć równie dobre Zamków, jak i Szydłowski...

Jeszcze o Racheli. Poeta (Leszek Herdegen) jest w tym przedstawieniu ironicznym intelektualistą (kudy mu tam do pierwszego chutliwego modernisty, czyli Kazimierza Tetmajera), a Racheli — jak ją sobie Roman Szydłowski wyobraża — miała być melancholijną poetessą, snującą się po bronowickich pokojach, gdzie każdy ino patrzy, komu by tu w mordę dać! („Spolem, to jest chłopskie w pysk”).

W głosach, jakie rozległy się po telewizyjnej inscenizacji „Wesela”, zabrakło refleksji moim zdaniem najistotniejszej; Jaka siłę posiada dramaf Wyspiańskiego dziś, na prógu roku 1972, w przeszło pięćdziesiąt lat po premierze? Jaka jest jego aktualna nośność intelektualna i emocjonalna? Czy zdolny jest poruścić sumienia Polaków, czy pozostawia ich obojętnymi?

Odnoszę wrażenie, iż „Wesele” dzisiaj — podobnie jak to już nieraz miało miejsce — nie straciło swojej sugestywności. Rzecz nie leży bowiem w inscenizacji, z którą można się zgodzić lub nie, lecz w towarzyszącej jej temperaturze społecznej. Idzie po prostu o to, czy inscenizacja owym społecznym odczuciom wychodzi naprzeciw, czy się z nimi rozmija. W tym sensie „Wesele”

Zamków okazało się spójne w wielu miejscach ze współczesną wrażliwością Polaków. Trudno mi rozstrzygnąć, ile w tym zasługi ma nowa sytuacja społeczna, a ile — sama Zamków. W każdym bądź razie szansa najistotniejsza nie została zaprzeczona, to już wiele! Bowiem takie dzieła, jak np. „Wesele” na scenie bywają tylko dramatem politycznym, choć w podręcznikach historii literatury są nimi zawsze.

Reasumując — jednych odmetaforyzowanie „Wesela” drażni, swoją jednowymiarowością, inni chcieliby pójść jeszcze dalej, oczywiście już nie z Wyspiańskim, lecz w duchu modnej obecnie kontestacji. Nic to, że w tzw. młodym teatrze na Zachodzie, skąd do nas przysła, obserwujemy jej zmierzch. Nasi, rodzinni „kontestatorzy”, admiirowani przez dobrze urządzonych panów po czterdziestce, którzy chwalą młodych za odwagę i bezkompromisowość — choć sami na fotelach redaktorskich, dyrektorskich, nawet palcem nie kiwną, żeby coś rzeczywiście zmienić — wciąż lansują polski archetyp „z pałą u nogi”.

Ta kontestacja nie ma już oczywiście nic wspólnego ani z „Weselem” Wyspiańskiego, ani z jego inscenizacją w teatrze TV, a dotyczy sytuacji młodego teatru w Polsce. Próbuje się go bowiem wmanewrować w funkcje zastępcze: gazety, zebrania itp., a odciąć od... teatru. Nie dajmy się przeto zwariować! Casus „Wesele” daje wiele do myślenia.

ANIOL SZCZĘSNY. PATRZYD!O

